



TU LEŻY DZIECKO ZABITE ZE STRACHU

Latem 2021 r. Aleksander Łukaszenka wyprawił na Polskę, według słów szefa policji gen. Jarosława Szymczyka, zgrupowania doświadczonych w walkach chuliganów i bandytów, które – dodawał jego rzecznik – poprzedzały oddziały kobiet i dzieci. Białoruskie służby miały ich ćwiczyć w rzucaniu kamieniami z procy. Policja nie zdawała sobie sprawy, że przybyszów z Bliskiego Wschodu nie trzeba uczyć posługiwania się procą. Już Dawid pokonał w ten sposób olbrzyma Goliata. Gorzej, że służby graniczne nie miały podstawowej wiedzy socjologicznej na temat zachowania zdesperowanych grup ludzkich, a rząd nie podjął próby politycznego rozwiązania konfliktu.

Komunikaty z pogranicza polsko-białoruskiego – póki nierzadko obrzydliwej hucpy propagandowej rządu nie przyćmiła „operacja specjalna” Moskwy – przypominały raporty z frontu. Podstępny i agresywny wróg atakuje. Ofiarni polscy funkcjonariusze dzielnie go odpierają. Jako formę walki wybierają przepychanie przez granicę. Wielu uchodźców przepędza się po kilka razy. Gdy migranci, wśród których dominują jak prawie zawsze i wszędzie młodzi mężczyźni, próbują przebić się przez granicę, służby odpowiadają użyciem armatek wodnych i zapowiedzią wykorzystania transporterów opancerzonych. Co miałyby to w praktyce znaczyć, nie wyjaśniono; użycie wozów pancernych do walki z tłumem kończy się najczęściej masakrą. Na konferencjach prasowych słyszymy o pokaleczonych pogranicznikach, ani słowa o cierpieniach drugiej strony: głodzie, przemarznięciu, gangrenie, połamanych kończynach i kręgosłupach, nieopatrzonych ranach, wreszcie o kilkudziesięciu ofiarach śmiertelnych, także wśród dzieci.

Nasz bogaty kontynent przyciąga materialnie, lecz nie wchłania duchowo.

Jan M. Piskorski*

Co do tego, kto wywołał ten konflikt, nie ma cienia niepewności. Jednak mimo upływu dwóch lat i wzniesionych tymczasem płotów i zasieków mnożą się wątpliwości względem decyzji podjętych wówczas przez rząd. Jak wskazują meldunki zza Odry, migracji nie zatrzymano, choć trzeba przyznać, że ograniczono jej strumień. Pytanie, czy nie nadmiernym kosztem. Mury, które od lat dzielą polskie społeczeństwo, wyrosły jeszcze wyżej. Do reszty zagubiła się nasza solidarność sumień. Zdaniem księdza Tischnera wyrasta ona z naturalnego, w znaczeniu ponadsystemowego, zmysłu etycznego, który nakazuje udzielić pomocy człowiekowi zranionemu przez drugiego człowieka. Nic gorszego, konstatował w X w. pisarz irańsko-islamski Al-Hamadani, niż odmówić schronienia uchodźcom, którzy uciekają przed złymi władcami, i nie nakarmić „piskląt” skazanych na głód i nędzę.

Wspólnota nie przetrwa wyłącznie jako korporacja nastawiona na obronę i poszukiwanie domniemanych zbrojców i zdrajców wewnętrznych i zewnętrznych.

Wspólnota narodowa tym bardziej potrzebuje krytyki, z której wyrasta więź. Jan Długosz w słynnym opisie bitwy grunwaldzkiej poddał ostrej naganie zachowanie polskiego rycerstwa i przed bitwą, gdy po drodze napadło ono na jedno z miast, dokonując rabunków i gwałtów, i zaraz po bitwie, kiedy zamiast zająć się rannymi, których jęk rozchodził się po całej okolicy, przystąpiono do biesiadowania. Wielu można było uratować, stwierdzał kronikarz ze smutkiem, gdyby pomoc w tę zimną lipcową noc przyszła szybciej.

Sprytnemu i niepozabawionemu inteligencji Łukaszence udało się wciągnąć Polskę, niczym dziecko, w bijatykę i zmusić jej służby do nieproporcjonalnego użycia siły. Mądrzej byłoby nie przeżyć demonstracyjnie muskuły, lecz działać podskórnie, zwłaszcza że konflikt na granicy polsko-białoruskiej miał początkowo charakter przede wszystkim polityczny, a nie humanitarny. Szło o kilka tysięcy ludzi, tyle, co zmieści się w jednym większym bloku. Wobec kryzysu demograficznego i braku rąk do pracy warto było umożliwić im złożenie wniosków o azyl, a rodziny z małymi dziećmi, które się najlepiej integrują, przekonać do pozostania w Polsce. Istniało rzecz jasna ryzyko, że strumień ludzki będzie przybierał, ale należało postawić sobie pytanie, czy Łukaszenca na tym zależy. Na wszelki wypadek można było wznieść tańsze i łatwiejsze do rozebrania zasieki, a niechby nawet płot w obecnym kształcie.

Zamiast pomyśleć nad rozwiązaniem, które brałoby pod uwagę i nasze możliwości, i podstawowe normy etyczne, rząd i służby zaperzyły się. Zaczniemy od języka. Przez kanał La Manche docie-

ra do Wielkiej Brytanii kilkadziesiąt tysięcy uchodźców rocznie, ale nikt poważny na Wyspach nie mówi o nich zbiorczo jako o bandytach. Przykład bardziej drastyczny – maledińska wyspa Lampedusa, gdzie w ciągu kilku ostatnich dni przybyło więcej imigrantów, niż było ich na granicy polsko-białoruskiej przez cały 2021 r. Żaden szanujący się polityk, w tym Giorgia Meloni, premierka zdawałoby się bliska naszemu Prawu i Sprawiedliwości, nie określiła ich mianem bandytów. Nie tylko w języku polskim „bandyta” ma od drugiej wojny światowej specyficzne znaczenie; bywa, że prawdziwym bandytą jest ten, kto innych tak przeżywa. Bandziorem można określić Łukaszenkę, który w walce o swoje cele sięgnął po niekonwencjonalne, niemniej znane i poniekąd uznane tymczasem sposoby nacisku. Tylko po co? W polityce emocje szkodzą zupełnie szczególnie, podobnie jak długi język.

Istotę demokracji stanowi większe otwarcie, dotyczy to również granic, których nie broni się bez potrzeby wszelkimi dostępnymi metodami. W niebezpieczeństwie stawia się w każdym razie życie ludzkie nad prawem. Inaczej zrzucono by bomby na łodzie z uchodźcami. Edward Luttwak, amerykański strateg znany z myślenia kontrintuicyjnego, proponował zresztą niszczenie tych łodzi, tyle że u samych brzegów Afryki. W ostateczności lepsze to niż śmierć na otwartym morzu. Można i trzeba się zastanawiać nad europejskim prawem azylu, które, jak pisze niemiecko-irański orientalista Navid Kermani, jest w obecnym kształcie szaleństwem. Skrojo-no je na zupełnie inne czasy – zimnej wojny białego człowieka, kiedy każdy uchodźca z wrogiego obozu stanowił błogosławieństwo Boże. Problem w tym, że Polska, obok Węgier, sprzeciwiła się wypracowanemu w pocie czoła porozumieniu dotyczącemu zaostrożenia europejskiego prawa azylowego, tłumacząc to błędnie koniecznością trwałej relokacji uchodźców, podczas gdy chodzi tu jedynie o obowiązek rozpatrzenia niewielkiej liczby wniosków azylowych przez suwerenne służby danego kraju. Wniosek odrzucony oznaczałby re-admisję.

Polska w swoim położeniu geopolitycznym musi koniecznie szukać kompromisów i być otwarta na Zachód – stwierdzali wyjątkowo zgodnie Roman Dmowski i Józef Piłsudski w swych najlepszych latach. Rządząca nami prawica wzięła ich sobie na sztandary, ale na tym się skończyło. Nie szuka u nich pomysłu, jak wyjść z naszego zapóźnienia gospodarczego i społecznego, jedynego lekarstwa na masową emigrację zawiedzionych ojczyzną młodych Polaków, których – chciał nie chciał – trzeba będzie zastąpić imigrantami z Afryki i Azji. Szczególnie u młodego Dmowskiego znalazłaby tych propozycji wiele. Pociągają ją marsowe oblicze Piłsudskiego, które skrywa kompletną anachroniczność Marszałka, i coraz bardziej paranoiczny szowinizm Dmowskiego. Obu panów, mimo że wychodzili z przeciwnych stron, zbliżało z czasem coraz więcej: pogarda dla demokracji parlamentarnej, karykaturalna wręcz megalomania, brutalność w sferze nie tylko językowej, typowa dla autokratów obsesja zdrady, koniec końców krew na rękach.

Obok słów w świat poszły zawstydzające obrazy. Polska policja, po raz kolejny w ostatnim czasie, robi dokładnie to, co służby białoruskie po sfalszowanych wyborach na ulicach Mińska – bije. Czasami „swoich”, czasami „obcych”. Łukaszenka może się przez chwilę przedstawić światu wręcz jako patron uciśnionych. Przytuła przed kamerami niezależnych telewizji zapłakane dzieci, które przeganiają polscy pogranicznicy. Niby wszyscy wiedzą, że to wilk w owczej skórce, lecz obrazy lubią się odrywać od realiów. Na pograniczu polskie i międzynarodowe prawo zostaje zawieszone, zabroniono działania wolontariuszom, nawet lekarzom. Także dziennikarze nie

mają dostępu do granicy. Premier Morawiecki wygłasza nie pierwszą „złotą myśl”: Amerykanie przegrali w Wietnamie, bo nie zakazali wstępu dziennikarzom, co znaczy, że okrucieństwo jest tylko wtedy naganne, gdy się je upubliczni. Podobnie przekonywał oficerów SS Himmler w okupowanym Poznaniu jesienią 1943 r. Morawiecki nie zauważył ponadto, że Sowietci w Afganistanie wprowadzili cenzurę i też przegrali. Że okrojone wiadomości są zastępowane przez wyolbrzymiającą rzeczywistość plotkę, wiedział ponoć już Aleksander Wielki. Łukaszenka lepiej rozumie, jak działać w takich sytuacjach. Przede wszystkim nie uderzać w najsłabszych i odwiecznie chronionych – dzieci. Wywołuje to bowiem gorący sprzeciw opinii publicznej i trwałe demoralizuje służby. Żaden dorosły pies, stwierdza Konrad Lorenz, nie ugryzie szczeniaka, u większości zwierząt samiec nigdy nie atakuje samicy. Dopiero zwierzęta trzymane w niewoli i odpowiednio tresowane stają się wobec nich agresywne.

Czy w polskich służbach nie odróżnia się zła od dobra? Informacje o potrzebie wsparcia psychologicznego dla pograniczników i ich rodzin, a może też próby samobójcze wśród żołnierzy, sugerują co innego: dezorientację, kulturę posłuszeństwa i strach przed przełożonymi, brak tradycji wewnętrznego oporu żołnierzy i zwłaszcza oficerów wobec złych rozkazów. Po pierwsze, nie każdy rozkaz trzeba wykonać, po drugie, można go dopełnić na różne sposoby. W sytuacjach wątpliwych pisze się raporty do przełożonych, parlamentarzystów, rzecznika praw obywatelskich, wreszcie mediów. Dobry przykład dają oficerowie brytyjscy i francuscy w powojennej Afryce. To dzięki ich relacjom podpisanym imieniem i nazwiskiem ekscesy wojsk kolonialnych wypływały na wierzch. Informacje prasowe o nadużyciach „algierskiego [czytaj: francuskiego w Algierii] gestapo” czy „kenijskiego [czytaj: brytyjskiego w Kenii] SS”, budziły opinię publiczną i pod jej naciskiem przywracano praworządność. Przeciwdziałanie jest ważne także dlatego, że przemoc w nas wrasta, im dłużej stosowana, tym bardziej. Policjanci i żołnierze wracają do swoich domów i jednostek i niejeden nie potrafi się już od niej uwolnić.

Dyskusje na temat zakresu obowiązkiwania rozkazu w wojsku i służbach policyjnych trwają co najmniej od XVII stulecia.

Może nie przypadkiem ostatni wielki polski dowódca, który sprzeciwił się wykonaniu haniebnego rozkazu, hetman Stanisław Żółkiewski, żył na przełomie wieków XVI i XVII, w czasach największej potęgi Rzeczypospolitej. Odmówił królowi przeprowadzenia pacyfikacji Moskwy i mimo to trafił do narodowego panteonu, podczas gdy Zygmunt III Waza nie cieszy się dobrą sławą.

Zadziwia również słaby głos polskiego Kościoła w czasie bezwzględnych akcji przeciw uchodźcom na polsko-białoruskim pograniczu. Zabrakło kapelanów, którzy rzuciliby swoje orduery pod stopy tych, którzy łamali prawo i przelewali krew, jak uczynił po zamachu majowym 1926 r. legionista ksiądz Józef Panaś.

Ta inercja dziwi tym bardziej, że rząd faktycznie wykorzystał służby. Pozostawił je same wobec problemu, który on powinien spróbować rozwiązać metodami dyplomatycznymi, zamiast szczuć młodych ludzi przeciw sobie.

Armia brytyjska rozdawała żołnierzom walczącym w Afganistanie tomiki z poematami talibów. Mieli wiedzieć, że po przeciwnej stronie stoją ludzie. Nasz rząd wybrał od razu metodę siłową, co spowodowało eskalację kryzysu. Nie da się upilnować granicy, gdy dochodzi do masowego exodusu. Szczelności nie zapewnią ani najwyższy mur, ani szeroka granica morska. Pominę w tym miejscu rozważania o nagminnym w takich sytuacjach handlu wizami – okazja czyni złodzieja, a w naturze władzy leży korupcja, wiedzieli dobrze już starożytni. Na granicy działają zawodowi szmugle-

rzy, ludzie dobrej woli pomagają uchodźcom z pobudek humanitarnych lub dla nagrody w niebie, funkcjonariusze przysmykają oko – z litości lub za łapówką. Jest smutną prawdą, że w praktyce służby wylapują najsłabszych i najmniej mobilnych: kobiety z dziećmi, starców, rodziny.

Niezdolność rządu do deeskalacji kryzysu na granicy z Białorusią spowodowała, że przeciągnął się on na zimę i na następne lata. Zima w warunkach pogranicza polsko-białoruskiego jest ciężka. Mamy wciąż w pamięci ówczesne obrazy i uda-

Łukaszenka przytuła przed kamerami niezależnych telewizji zapłakane dzieci, które przeganiają polscy pogranicznicy

wanie oficjalnych czynników, że nie dzieje się nic złego. Fakt, że nie utrwały się one w naszych głowach, zawdzięczamy agresji Putina na Ukrainę w lutym 2022 r. Ujmując spontaniczność przyjęcia ukraińskich uchodźców wiązała się zapewne po części z wyrzutami sumienia. Syryjscy uchodźcy, których od lat odpychaliśmy, też uciekali przed wojną, czasami nawet przed tymi samymi jednostkami rosyjskimi grupy Wagnera. Przynajmniej podświadomie zdawaliśmy sobie sprawę, że jako zbiorowość zawiedliśmy. Czy można mieć pretensje do młodego żołnierza czy policjanta, skoro znaczna część społeczeństwa przymykała oko na ich dylematy na granicy? Społeczeństwo obywatelskie ma ogromną siłę sprawczą. Gdy wkrótce po zjednoczeniu zapłonęły domy azylantów w Niemczech Wschodnich, kanclerz Kohl miał powiedzieć, że rząd nie radzi sobie z sytuacją. Niejako w odpowiedzi na ulice niemieckich miast wyszły miliony, które w pokojowych marszach wskazały mu drogę. Przemoc została opanowana. Lojalność wobec naszych służb wymaga dosadności: nie one są chore, Polska jest chora.

Ściągając na granicę kilka tysięcy uchodźców, Łukaszenka nie spodziewał się, że rezultatem jego decyzji stanie się odgrodenie Białorusi płotami od europejskich sąsiadów. Pragnął najprawdopodobniej uznania przez nich rezultatów wyborów i tym samym nawiązania zerwanych kontaktów. Liczył też zapewne na przywrócenie mocno nadwątłonej równowagi pomiędzy sąsiadami zachodnimi a ciężącym mu panem na Kremlu, mimo że dopiero co pomógł mu przetrwać. Ponieważ prawda jest pierwszą ofiarą wojny, trzeba przypomnieć, że od czasu dojścia do władzy w 1994 r. Łukaszenka lawiruje między Rosją a Zachodem.

Pragmatyzm w połączeniu z dynamicznym ujmowaniem rzeczywistości stanowi fundament polityki.

Najlepiej, gdy wspomaga ją nauka, tyle że musi być rzetelna, przekonywał przed ponad wiekiem konserwatywny historyk krakowski Józef Szulski. Jego śladem szedł Jerzy Giedroyc, zalecając przed każdym kolejnym krokiem chłodną analizę bieżącej sytuacji, gdyż polityka nie lubi stałości. Nie znaczy to, że musimy co rusz zmieniać imponderabilia natury etycznej, społecznej i politycznej, stanowiące podstawę naszego poruszania się w świecie. Do pracy w drewnie i betonie używamy innych narzędzi, mimo że cel może być ten sam – chociażby zamocowanie haka na lampę. Również w rzemiośle politycznym należy dostosować narzędzia do zmieniających się okoliczności. Mówiąc konkretnie, póki na Białorusi trwały masowe protesty po sfalszowanych wyborach z sierpnia 2020 r., póty należało wysyłać do Mińska sygnały, że Łukaszenka nie znajdzie międzynarodowego uznania. Odkąd udało mu się stłumić opór wewnętrzny i warunki zewnętrzne uległy diametralnej zmianie, trzeba było przystąpić do nowej gry. Błędem z punktu widzenia polskiej racji stanu jest wrzucanie Białorusi i Rosji do jednego worka. Powinno się raczej próbować skłonić Łukaszenkę do przerwania szlaku uchodźczego i jakiejs formy porozumienia z opozycją. Na pewno nie drogą sankcji, które wypychają go w ramiona Putina. Znakomitym przykładem może być lawirowanie Piłsudskiego między białymi i czerwonymi w Rosji po rewolucji. Ostatnich nie znośli, ale oferowali nieporównywalnie więcej, pozwolił im zatem pobić pierwszych. Gen. Roman Polko przestrzegając przed rokowaniami z terrorystami, zapomniał najwidoczniej o Piłsudskim, by przy nim pozostać. W kręgach dyplomatycznych Europy miano go w 1918 r. za lewaka, terrorystę i złodzieja. W sensie formalnym nie bez racji. A gdyby za rodzaj groźnej przemocy uznać szkodnictwo moralne w postaci „podrywania podstaw ustroju państwowego przez ulegalizowane gwałty”, jak przekonywał jeszcze w 1908 r. Dmowski, sprawy się dodatkowo skomplikują i nabiorą niezwyklej aktualności.

Kroki podjęte przez białoruskiego autokratę w 2021 r. nie musiały odbywać się pod dyktando Moskwy, choć na pewno o nich wiedziała. Łukaszenka mógł czerpać inspiracje z europejskiej polityki wobec Turcji i Maroka, którym Unia Europejska słono płaci za powstrzymywanie migracji. Miał prawo zakładać, że przestraszona Unia zgodzi się na jego warunki. W podobnym kierunku zmiierzają dziś wysiłki europejskiej polityki wobec Tunezji i Libii, rządzonych przez dyktatorów względnie lokalnych watażków, którzy w zależności od potrzeb przykręcają i odkręcają kurki z migrantami. Z podobnymi wypadkami będziemy mieli do czynienia coraz częściej.

Wynika to z przemian demograficznych w świecie, gdzie biedniejsze Południe dysponuje nadwyżką ludności, na dodatek młodej, a bogatsza i stosunkowo starsza Północ cierpi na jej brak. Dysproporcja jest gigantyczna i jeśli chcemy uniknąć zbrojnych migrantów, musi dojść do częściowego przynajmniej wyrównania tych zbiorników, najlepiej w sposób w miarę kontrolowany. Wędrowni ludzie na Północ, chcieliby się rzec: odwiecznej, powinien teraz towarzyszyć przepływ kapitału na Południe. Głodny się nie patyczkuje, syci nie przebiegają w metodach obrony.

Ważna w tym kontekście jest też zmiana podejścia do migrantów, do jakiej doszło w XX w. Jeszcze przed dwustu laty cieszono się na każdego gościa z zewnątrz, oczywiście z własnego kręgu kulturowego, bo z innych przybywali tylko niewolnicy. W myśl teorii merkantylistycznej imigrant przynosił krajowi pożytek, zwalczano więc nielegalną emigrację. Dopiero zdominowanie Europy przez ideologię egoizmu narodowego, traktowanego jako nowoczesna forma nacjonalizmu, przyniosło skojarzenie interesu państwa z dobrobytem narodu wodzącego w nim prym. W Europie Zachodniej przejście to dokonało się w wieku

XIX, w Polsce usiłowała je zaszczyć ende-
cją między wojnami.

Pogniewana z całą Europą i anachro-
niczna współczesna polska prawica nie po-
trafiła prawidłowo zinterpretować nad-
ciągającego kryzysu ani przekonać Unii
do próby zastosowania odmiennych środ-
ków. Wybrała machanie szabelką i uwla-
czające mądrości obywatelskiej wezwania
do narodowej jedności. Jak gdyby „do siło-
wego forsowania polskiej granicy” przystą-
piła armia białoruska wsparta przez rosyj-
ską. Tymczasem realnym „przeciwnikiem”
było kilka tysięcy ludzi zagnanych w ko-
zi róg. Za każdą ofiarę wśród nich odpo-
wiedzialność będzie ponosić Polska. Praw-
da, obok Białorusi, ale chcielibyśmy prze-
cież czymś się od niej różnić. Nie unieważ-
nia to także nadużyć polskich rozkazodaw-
ców i wykonawców, którzy – jak pokazu-
je obecna praktyka włoska i duńska – mogą
zostać postawieni przed sądem. Co więcej,
kraje demokratyczne znajdują się na dro-
dze do generalnej zmiany podejścia do ka-
rania polityków.

Władza musi wiedzieć, że działa w ra-
mach prawa, a za jego łamanie odpowie-
 przed trybunałami, nie tylko Boga i hi-
storii. W naszych zeświecczonych społe-
czeństwach groźba piekła mało kogo prze-
straszy.

Francja zdaje się wytyczać nowe dro-
gi w tej dziedzinie. Po wyroku dwóch lat
w zawieszeniu dla ciężko chorego prezy-
denta Jacques’a Chiraca przyszedł wyrok
długiego ograniczenia wolności dla pre-
zydenta Nicolasa Sarkozy’ego. Skazano
ich i ich współpracowników za przestęp-
stwa sprzed wielu lat dotyczące defraudacji
środków publicznych, korupcji i han-
dlu wpływami. Gdyby przyjąć podobne
kryteria, przed sąd musiałaby trafić spora
część polskiej klasy politycznej ostatnich
dwóch kadencji.

Bertrand Russell, autorytet wśród
uczonych brytyjskich XX w., obser-
wując przymusowe przesiedlenia
zaraz po wojnie, pytał aliantów w liście do
dziennika „The Times” z 23 października
1945 r. o różnice pomiędzy zagazowywa-
niem Żydów a wyrzucaniem z domów
kobiet i dzieci, które umierały następnie
z niedożywienia. Można by mieć pretensje
do filozofa, że pominął w tym kontekście
sprawę intencji. Tyle że on nie oskarżał,
zwracał uwagę na dramatyczną sytuację
niemieckich wygnańców w brytyjskiej
strefie okupacyjnej i wzywał rodaków do
podzielenia się z nimi skromnymi racjami
żywnościowymi.

Protest Russella nie odzwierciedlał opi-
nii szerszych kręgów społeczeństwa bry-
tyjskiego zajętego lizaniem własnych ran
i zobojętniałego na los Niemców. A jednak
wolno, idąc nie tylko jego śladem, zapy-
tać, czym różni się zabijanie od przepycha-
nia przez granicę z podobnym skutkiem.
Czy nie o to właśnie pyta nas, Polaków i Eu-
ropejczyków, Agnieszka Holland w „Zielo-
nej granicy”? Film wszedł na ekrany w to-
warzystwie skandalicznego zgielku ze stro-
ny bezpośrednio zainteresowanych – rządu
i służb pragnących pozostać poza kontrolą.
Ustami ministrów i prezesa rządzącej par-
tii oskarża się reżyserkę o nazistowską pro-
pagandę, chcąc najwyraźniej zakrzyczeć
prawdę – to ich haniebna nagonka ma tota-
litarny charakter.

Uczymy się w szkole odpowiadać na py-
tanie Norwida: „Czy ten ptak kala gniazdo,
co je kala, / Czy ten, co mówić o tym nie po-
zwala?”. Co więcej, to obywatel jest do kry-
tyki, a ministrowie do słuchania.

Jesteśmy winni lojalność pogranicz-
nikom, którzy nie znaleźli się na grani-
cy z Białorusią z własnej i nieprzymuszo-
nej woli. W żadnym razie nie wolno jednak
odbierać głosu pokrzywdzonym, to pod-
stawowa zasada każdego procesu. Russell
i Holland są niewygodni, bo nie pozwalają
nam się odprężyć w ciepłych domach.
Tym bardziej są niezbędni, gdy oskarżycie-
ciele traktują sprawy uchodźców i twór-
ców instrumentalnie, jak jednoznacznie

wynika z „teki Dworczyka”. Obywatele da-
ją państwu, i tylko jemu, pozwolenie na ofi-
cjalne używanie przemocy w wierze, że
będzie ono korzystало z niej roztropnie,
w granicach prawa i elementarnej moral-
ności. Zdaje się, że w tym wypadku zosta-
ły przekroczone wszystkie trzy progi. Naj-
wyższa pora zacząć o tym dyskutować. Nie
jestem pewien, czy znajdziemy rozsądną
i bezbolesną strategię migracyjną dla Eu-
ropy i świata, migracje to jeden z proble-
mów wiecznych i nieodmiennie związa-
nych z napięciami. Brak mi też przekona-
nia do popularnego dziś spostrzeżenia, że
imigranci są zasadniczą przyczyną kryzy-
su zachodniej demokracji. Jest nią raczej
nierówność społeczna i postępujący wraz
z modernizacją indywidualizm, dla któ-
rego nie znajdujemy przeciwwagi. W wy-
padku odartej z mitu i złaicyzowanej Eu-
ropy jest to ponadto sprawa kulejącej toż-
samości.

Nasz bogaty kontynent przyciąga ma-
terialnie, lecz nie wchłania duchowo, brak
mu solidarności sumień, aczkolwiek w ob-
cie napadła na Ukrainę zaskakuje jedno-
ścią.

„Tu leży dziecko zabite ze strachu /
Przez Greków” – wołał ustami zropanco-
nej kobiety Eurypides w „Trojankach”,
pierwszym europejskim dramacie uchodź-
czym. Gdy państwo niszczy niewinne ży-
cie, wypowiada wojnę światu, także tym
wszystkim, którzy, choć zawstydzeni, wy-
konują niezrozumiałe i dla nich rozka-
zy. Podczas gdy przerażona ziemia „go-
reje w ogniu, / Wybrzeża morskie / jęczą
jak ptak, co krzyczy nad piskletami”, dziel-
na kobieta rzuca nam, już nie starożytnym
Hellenom, prosto w twarz: „Szpetny to na-
pis dla Polski”. ●



FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Prof. Jan M. Piskorski

• historyk w Uniwersytecie Szczecińskim.
Wydał m.in.: „Wygnańcy. Przesiedlenia
i uchodźcy w dwudziestowiecznej Europie”
(PIW 2010), „Gorzka sól historii. Migracje
i transformacje” (Bellona 2021). W druku
znajdują się „Bitwy o przeszłość. Nauka, poli-
tyka, media, edukacja” (Universitas).

Lojalność
wobec naszych
służb wymaga
dosadności:
nie one są
chore,
Polska jest
chora

Awaria

**Internauci szybko dostrzegli
w sprawie z benzyną analogię
do PRL-u i przerobili zdjęcia
pustego sklepu mięsnego z lat
80., dodając dialog: „Jest mię-
so?”, „Jest, ale mamy awarię
pólek”.**

Michał Rusinek



Wyraz „awaria”
przyłynął do nas
z krajów arabskich
statkiem — nie
wiadomo tylko, czy włoskim, czy
francuskim — w drugiej połowie
XIX wieku. Innymi słowy, do
języka polskiego wszedł z języka
marynarzy. Z początku oznaczał
uszkodzenie statku lub towaru
przewożonego statkiem, a źró-
dłosłowem francuskiego „avarie”
i włoskiego „avaria” jest arabskie
słowo „awar”, oznaczające wadę
lub szkodę. W liczbie mnogiej
brzmi ono „awarija” i oznacza
uszkodzone towary. W domyśle:
uszkodzone na skutek nieszczęśli-
wego wypadku na morzu.

Woda to przecież żywioł, sztorm
trudno przewidzieć; towary by-
ły zabezpieczone, ale — zrządze-
niem losu — zostały uszkodzone
w transporcie, czyli uległy awarii.
Nie można nikogo winić za awa-
rię. Można tylko wzruszyć ramio-
nami. Pech. Wola nieba. Jak kto
chce. Słowniki definiują dziś awa-
rię jako „zepsucie się maszyny
lub innego urządzenia technicz-
nego”; zepsucie „się”, a nie zepsu-
cie „przez kogoś”, a więc niejako
samoczynnie, bez udziału osób
trzecich.

Nie ma się co dziwić, że słowo
„awaria” było szczególnie popu-
larne w PRL-u. Awarii co i rusz
ulegały różne elementy peerełow-
skiego systemu, a kartka z napi-
sem „awaria” nie tylko była infor-
macją, że coś nie działa, ale też
znakiem, że za to niedziałanie nie
można nikogo pociągnąć do od-
powiedzialności. Nazwanie jakiej-
kolwiek usterki, uszkodzenia czy
wady „awarią” zamykało jakakol-
wiek potencjalną dyskusję o wi-
nie. Jeśli planowano na przykład
wylączenia prądu, ale nie chcia-
no brać za nie odpowiedzialno-
ści, tłumaczyć się z decyzji o nich
i przy okazji wywołać tą decyzją
protestów społecznych, nazywa-
no te wylączenia „awariami” —
i to magiczne słowo miało spowo-
dować, by nikt nie miał o to do ni-
kogo pretensji. To nie „oni” wy-
łączyli, to samo się wyłączyło. Bo
awarii nie można przecież wy-
wołać. Awarii może coś co naj-
wyżej ulec. Awaria nie zna pod-
miotu, ma tylko swój przedmiot.
A przedmioty bywają przecież
awaryjne.

„Awaria dystrybutora”, „awaria
pompy” — czytamy teraz na wie-
lu stacjach benzynowych Orle-

nu w różnych miejscach Polski.
Oczywiście dystrybutory to urzą-
dzenia mechaniczne, jak każde
urządzenie mogą więc one ulec
samoczynnej awarii, ale pech
chciał, że przy okazji wyciekł (no-
men omen) mail od dyrekcji fir-
my do pracowników stacji. Zale-
ca się w nim, by w razie proble-
mów z dostępnością paliwa wy-
wieszali oni komunikaty o „awa-
riach” dystrybutorów: „Nie nale-
ży używać czerwonych naklejek
z informacją »chwilowy brak pa-
liwa« [...]. Kategorycznie zakaza-
ne jest eksponowanie jakichkol-
wiek komunikatów z informacją,
że stacja jest nieczynna”. Wszyst-
ko wskazuje na to, że podjęto bo-
wiem decyzję o charakterze po-
litycznym: obniżono cenę paliwa
przed wyborami parlamentarnymi.
Wyższe ceny powrócą zapew-
ne po 15 października, kierowcy
tankują więc na zapas, a że ben-
zyna jest tańsza niż w innych pań-
stwach w regionie (Arabia Sau-
dyjska wprowadziła ograniczenia
wydobycia, Rosja — ogranicze-
nia w eksporcie, cena ropy naft-
owej na świecie wzrosła), tan-
kują ją więc także kierowcy z są-
siednich państw. W efekcie zaczy-
na jej brakować, także dla trans-
portu krytycznego, czyli na przy-
kład karettek pogotowia. Robi się
groźnie. Winę za tę sytuację po-
nosi dyrekcja koncernu, była to
przecież jej nieprzemysłana decy-
zja. Przy okazji uświadomiła nam
owa dyrekcja, że znów żyjemy
w państwie, które nie przyzna-
je się do winy, zamiast więc infor-
macji o chwilowym braku paliwa
(za który ktoś ponieść powinien
odpowiedzialność), na stacjach
benzynowych pojawiają się kart-
ki z napisem „awaria”. Pech. Wola
nieba. Jak kto woli.

Tak to bywa, kiedy chce się ręcz-
nie regulować coś, co powinien
regulować rynek. W sieci poja-
wiają się teraz kolejne zdjęcia
„awarii” oraz kolejne memy: in-
ternauci szybko dostrzegli analo-
gię do PRL-u i przerobili na przy-
kład zdjęcie Chrisa Niedenthala
przedstawiające wnętrze puste-
go sklepu mięsnego z lat 80., do-
dając dialog: „Jest mięso?”, „Jest,
ale mamy awarię pólek”. Politycy
PiS-u zachowują się różnie. Jacek
Osuch, wiceminister sportu, zo-
stał przyłapany na tankowaniu do
kanistrów, natomiast Bożena Bo-
rys-Szopa próbowała ratować sy-
tuację, fotografując się na tle rze-
komo czynnego dystrybutora i pi-
sząc: „Nie wiercie w fake news-
y!!!” (pisownia oryginalna), oraz
zapewniając, że na stacjach Orle-
nu jest nie tylko paliwo, ale też cu-
kier do kawy. Ktoś jednak pręd-
ko zauważył, że zaslania ona sobą
dystrybutor i że ktoś przed nią za-
tankował 491 litrów paliwa. Czyli
albo tankował do czołgu, albo do
bardzo wielu kanistrów. Aż strach
spytać, ile wyspał cukru do kawy.

„Spokojnie, to tylko awaria” —
brzmiał brawurowo przekład ty-
tułu amerykańskiej komedii „Air-
plane II: The Sequel” Kena Finkle-
mana z 1982 roku. Rzeczywiście,
cała historia brzmi jak sequel PR-
L-u. Warto też przypomnieć, że
polski tytuł pierwszego filmu serii
(„Airplane!”, 1980) został równie
brawurowo przełożony jako „Czy
leci z nami pilot?”. I to jest pyta-
nie, które zadajemy sobie już od
ośmiu lat. ●